

ODBIJANIE PSÓW



Nieludzkie skowyty przerażonych kundli, krzyki sąsiadów, groźby obrońców zwierząt i właścicielka, próbująca odebrać sobie życie. Do tego policja, Straż Miejska i pożarna oraz Pogotowie Ratunkowe. Odbieranie przez gminę pierwszych zwierząt z przytuliska Marzeny Krzętowskiej przy ulicy Lachy, przypominało odbijanie zakładników.

Pani Marzena bezpańskimi czworonogami zajmuje się od 20 lat. Pierwsze zwierzęta trzymała jeszcze w swoim mieszkaniu w bloku, potem przeniosła się na ulicę Widok, stamtąd 10 lat temu trafiła na Lachy. Gmina użyczyła jej 300-metrową posesję z drewnianym domem. Dopóki trzymała kilkanaście zwierzaków, problemu nie było. Pojawił się w miarę rozrostu menażerii, która obecnie liczy 150 psów i 30 kotów. Wszystkie, jak zapewnia właścicielka, są zaszczepione przeciw wściekliznie. To jednak nie interesowało jej sąsiadów, skarżących się na hałas i fetor, wydzielany przez taką gromadę zwierząt. Regularnie, przynajmniej raz w roku, pisali do gminy o zlikwidowanie psiego i kociego przybytku. Marzena Krzętowska uważała, że warunki, w jakich żyją jej zwierzęta, to wina władz i ludzi. Ci ostatni krytykują, ale sami cichaczem podrzucają jej nowe czworonogi, dlatego ma ich tak dużo. Natomiast gmina przez lata nie zrobiła nic, by w mieście powstało schronisko dla zwierząt z prawdziwego zdarzenia. Wszelkie rozmowy na ten temat uciniała stwierdzeniem o braku pieniędzy. Miasto kontrargumentowało, że samorząd nie ma obowiązku prowadzić schroniska. Mogą się natomiast tym zająć towarzystwa ochrony zwierząt. Aby im to umożliwić gmina przekazała pod schronisko teren po dawnej zlewni nieczystości płynnych przy ulicy Iłżeckiej.

- Miał tylko tę wadę, że nie spełniał ówczesnych wymogów związanych z oddaleniem od siedzib ludzkich. Wymagane było 300 metrów, tam było 200. Obecne przepisy mówią już o 150 metrach - informuje Robert Adamczyk, kierownik Referatu Obsługi Komunalnej Urzędu Miasta.

- Zaraz jednak zaczęły się żądania ze strony towarzystwa ochrony zwierząt. A to miasto powinno wyposażyć schronisko, a to zatrudnić lekarza weterynarii - dodaje Tomasz Kopeć, pracownik Referatu.

Rozmowy skończyły się fiaskiem i w rezultacie problem bezpańskich zwierząt w mieście wyglądał tak, że odławiano tylko chore, potracone lub agresywne z zamiarem uspienia. Resztę gmina odwoziła do schroniska w podkieleckich Dyminach, dopóki placówka nie rozwiązała umowy. Potem nie udało się nawiązać współpracy z żadnym innym schroniskiem, więc został tylko rakarz.

Schronisko, czy przedsiębiorstwo?

Azyl Marzeny Krzętowskiej w pewien sposób ratował sytuację, funkcjonował jednak w opłakanych warunkach. Właścicielka sama nie mogła ich polepszyć. Odkąd gmina w 2002 roku przestała ją wspomagać finansowo, utrzymywała się tylko z darów i datków życzliwych jej ludzi. Taka sytuacja trwała przez lata.

Energiczne kroki gmina podjęła dopiero w bieżącym roku, powołując się na opinię Powiatowego Lekarza Weterynarii, który sugerował zamknięcie azylu przy ulicy Lachy i umieszczenie zwierząt w schroniskach. Urzędnicy rozpoczęli poszukiwanie placówki, która przyjąłaby prawie 200 czworonogów. Zgodę wyraziło schronisko w miejscowości Miedary na Śląsku. Gmina zobowiązała się opłacić transport i przekazać po 230 zł za przyjęcie jednego zwierzęcia. W sumie na akcję zaplanowano 73 tys. zł. Marzena Krzętowska zapowiedziała jednak, że nie odda swoich podopiecznych, bo nie ma pewności, że trafią w dobre ręce.

- Z naszych informacji wynika, że właścicielka nie prowadzi schroniska, ale działalność gospodarczą w budynku po dawnej świnia. W internecie wyczytaliśmy, że Miedary mają podejrzenie wysoki procent wydanych psów, ale one nie trafiają do adopcji. W takim razie, co się z nimi dzieje? - pyta opiekunka, podejrzewając najgorsze.

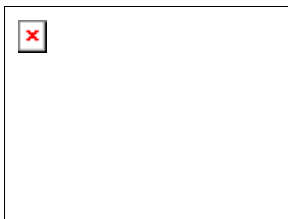
- W internecie można wyczytać różne bzdury. Pani Krzętowska nie była na miejscu, a rzuca fałszywe oskarżenia. Schronisko w Miedarach odwiedził nasz pracownik. Placówka ma nadany numer ewidencyjny, jest nadzorowana przez weterynarza i TOZ z tamtego rejonu - podkreśla Robert Adamczyk.



- W umowie z właścicielką zobowiązaliśmy się do wniesienia jednorazowej opłaty za przyjęcie zwierząt. Co będzie dalej? Jak właściciel sprzedaje psa, to czy ktoś się nim interesuje? Ale jak robi to gmina, to musi wiedzieć, co się z tym zwierzęciem dzieje. Prawa opiekuńcze nad przewiezionymi zwierzętami, przekazaliśmy właścicielce schroniska - dodaje urzędnik.

Mogę iść do więzienia

Dwa tygodnie temu prezydent Starachowic wywołał Marzenie Krzętowskiej prawo do korzystania z nieruchomości przy ulicy Lachy i nakazał likwidację zwierzęcego przytułku. Zabranie pierwszych psów do Miedar zaplanowano na ubiegły czwartek. Około 9.00 na posesję Krzętowskiej dotarli pracownicy Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami z Krakowa. W tym samym dniu na biurko prezydenta trafił faks, w którym organizacja domagała się wstrzymania zamknięcia przytuliska. Pani Marzena czekała na nich, więc przyjęła gości ze spokojem. Nastrój wyraźnie jej się pogorszył, gdy około 9. 30 przed dom zajechały samochody pracowników Urzędu Miasta, Straży Miejskiej, Inspekcji Weterynaryjnej i firmy, mającej przewieźć psy do śląskiego schroniska. Okazano



jej decyzję prezydenta. Kobieta odmówiła jednak wydania zwierząt i zamknęła wszystkie furtki na podwórzu.

- Pani Marzeno, proszę otworzyć, będą dodatkowe kłopoty - tłumaczył komendant Straży Miejskiej Marek Uliński.

- Trudno, ja już tyle dla zwierząt poświęciłam, że mogą iść nawet do więzienia - usłyszał w odpowiedzi.

Mediacji próbowała też przedstawicielka krakowskiego TOZ, lekarz weterynarii.

- Jestem tu po to, żeby te psy zbadać i sprawdzić, do jakich warunków trafią.

Nikt nie zamierza ich uśpić - argumentowała.

Pracownicy firmy transportowej próbowali otworzyć zamknięte wejścia, sięgając ręką przez płot. Bezskutecznie. Pani Marzena zaczęła wnosić część psów do domu, po czym zamknęła się w budynku.

Przed domem zaczęli się gromadzić jej sąsiedzi i znajomi z lokalnego TOZ.

- Niech to wszystko wreszcie rozbiorą, my już mamy dość życia w smrodzie.

Tego się nie da potem wywietrzyć - mówili mieszkańcy.

- Ja ją znam od dziewczyny. Przecież ona nic złego nie robi. To jest wina ludzi, kto jej te psy podrzuca, jak nie oni? - przekonywała starsza kobieta.

- Idź, ty dobrodziejko. To je sobie zabierz. Jeszcze powinna podziękować, że jej wezmą trochę psów, będzie jej lżej - napadła na nią inna.

- No, co tak stoicie, bierzcie te psy - zachęcał jakiś mężczyzna.

Sznur na szyi i śmierć w oczach

Pracownicy firmy zaczęli szarpać sztachety, próbując sforsować płot. W pewnym momencie otworzyły się drzwi na poddaszu. Stała w nich pani Marzena z linką na szyi i strasznym spojrzeniem omiatała wszystko, co się dzieje na dole. Ludzie zamarli. Kobieta najwyraźniej sugerowała, że za chwile targnie się na swoje życie. Wezwano pogotowie, policję i straż pożarną z drabiną. Zdezorientowani urzędnicy kręcili się bezradnie nie wiedząc, jaką decyzję podjąć. Poproszono jedną ze znajomych, by porozmawiała z desperatką.

- Marzenka, zjeżdż - prosiła ze łzami.

Inna zanosila się szlochem.

- Boże, tu się zaraz stanie coś strasznego, nie mogę na to patrzeć - łkała.

- No, skacz, skacz - wyrwał się jakiś podparty jegomość, nadstawiając ręce.

Opiekunka zwierząt w końcu zeszła ze strychu. Wpuściła do siebie jedną z przyjaciółek i lekarzkę z krakowskiego TOZ. W tym czasie na ulicę Lachy dotarli strażacy i pogotowie.

- Nie udało mi się przekonać pani Marzeny. Odrzuca wszystkie argumenty. A prawdą jest, że warunki, jakie tu panują, to jest dramat dla tych zwierząt - stwierdziła członkini TOZ z Krakowa.

Pani Marzena po raz drugi pojawiła się na strychu. Linkę okręconą na szyi tym razem przyczepiła do ściany. Strażacy rozsunęli drabinę, żeby wejść po kobietę.

- Zabierzcie to, nawet nie podchodźcie. Co będą miała zrobić i tak zrobię.

Wydaliście wyrok na mnie i moje psy - krzyczała właścicielka.

W pewnym momencie pracownicy firmy oderwali kilka sztachet z parkanu i przez powstały otwór złapali na pętlę pierwszego psa. Przerażone zwierzę zaczęło

straszliwie piszczeć. Mężczyźni wciągnęli go do czekającego z boku samochodu. Pozostałe kundule, widząc co się dzieje, podniosły straszliwy harmider.

- Tak gmina rozwiązuje problemy - wołała ze strychu opiekunka zwierząt.

Przy akompaniamencie ogłuszającego psiego koncertu, pracownikom udało się jeszcze złowić trzy czworonogi.

To bezprawie

W tym czasie pani Marzena telefonowała do swojej znajomej z TOZ.

- Zaraz tu będzie pełnomocnik prawny, wtedy porozmawiamy - zapowiedziała.

Na posesję przyjechała Karina Schwerzler z Końskich.

- Gmina została pozwana do sądu o odszkodowanie dla pani Krzętowskiej (chodzi o ponad 500 tys. zł jako rekompensata za samodzielne utrzymywanie przytuliska, gdy gmina wstrzymała pomoc - przyp. autorki). Pan chyba wie, że prawo sądowe jest nadrzędne wobec lokalnego - zwróciła się do kierownika Adamczyka.

- Dopóki nie zapadnie decyzja w tej sprawie, nie możecie zabierać psów. Mam wrażenie, że Starachowice tworzą własne prawo - perorowała.

- Na początku marca odbywała się tu kontrola weterynaryjna z zaleceniem likwidacji schroniska - opowiedział urzędnik.

- Przez 10 lat nie robiliście nic. Nagle się uaktywniliście, odkąd złożyłam pozew. To jest niesamowite, że w takiej dużej gminie nie ma schroniska - kontrargumentowała działaczka.

Samochód przyjechał po kolejne czworonogi. Tym razem "łapaczowi" udało się wejść na posesję.

Odłowiono jeszcze cztery psy, ostatniego pani Marzena wyniosła na rękach. Zrobiła tak podobno po namowach przedstawiciela firmy transportowej, który krążył koło niej i w kółko powtarzał, żeby sama wybrała jakiegoś psa, którego nie lubi.

Złapane zwierzaki opisali pracownicy krakowskiego TOZ i zobowiązali się odwiedzić miejsce, do którego trafiają. Zadeklarowali także zabranie do siebie siedmiu innych podopiecznych pani Marzeny. Psy, jak poinformował kierownik Adamczyk, nie odjechały od razu na Śląsk. Skierowano je do firmy wyłapującej bezdomne psy na zlecenie gminy, gdzie miały spędzić jeden dzień przed podróżą.

- Co? Psy do hyla, który morduje zwierzęta? Tego już za wiele, spotkamy się w sądzie - zagroziła Karina Schwerzler.

- Uff, co za dzień. Chyba muszę gdzieś wyskoczyć, żeby odreagować - ocierał pot z czoła kierownik Adamczyk, po prawie trzech godzinach stresu.

Jak całą sytuację komentuje prezydent?

- Nigdy nie mieliśmy z panią Krzętowską podpisanej umowy, która wiązałaby obie strony. Natomiast widząc jej trudną sytuację, gmina służyła jej czasową pomocą. W tej chwili na powierzchni 300 metrów przetrzymywane jest ponad 150 psów i kotów. Czy to są godziwe warunki? Myślę, że towarzystwa opieki nad zwierzętami, które występują w obronie przytuliska przy ulicy Lachy, tylko się ośmieszają. A co z mieszkańcami od lat narażonymi na uciążliwe sąsiedztwo? Dlaczego na ten problem nikt nie chce zwrócić uwagi? Dysponuję ponad 300 podpisami sąsiadów zwierzęcego azylu, którzy od lat domagają się interwencji ze strony gminy. I taką właśnie podjęliśmy. Schronisko w Miedarach działa pod opieką lekarza weterynarii i tamtejszego TOZ- u. Psy będą tam miały zdecydowanie lepsze warunki, niż u pani Krzętowskiej - podkreśla Sylwester Kwiecień.

Dziś Marzenie Krzętowskiej mają być odebrane kolejne cztery psiaki. Czy znowu odbędzie się to w tak dramatycznych okolicznościach? I czy likwidacja jednego przytuliska załatwi raz na zawsze problem wyrzucanych na ulicę Burków i Mruczków?

(iwo)

